

ADRIANA CELIŃSKA
Uniwersytet Jagielloński

Piękne i brzydkie. Ubóstwiane i obmierzłe. Ciało w *Oblubienicy Pana* Alberta Cohena

Powieść Alberta Cohena¹ *Oblubienica Pana* to arcydzieło literatury francuskiej, które swoją klasę i wielkość ujawnia na licznych płaszczyznach, otwierając się przed czytelnikiem jak pełna skarbów szkatułka, w której znajdujemy nie tylko bolesną żydowską epopeję zabarwioną specyficznym poczuciem humoru, ale też szczegółowy, etymologiczny wręcz i bardzo krytyczny opis świata dyplomacji i genewskiego mieszczaństwa. To też książka niepozbawiona filozoficznej refleksji nad człowiekiem, przede wszystkim zaś jest *Oblubienica Pana* wielką powieścią o miłości. To kronika uczucia, którego czas przypada na burzliwe i trudne lata międzywojenne.

Główny bohater, Solal, podsekretarz generalny Ligi Narodów, uwodzi żonę swojego podwładnego Adriana Deume, zawczasu umyślnie wysłanego w podróż służbową. Kochankowie podczas nieobecności małżonka Ariadny przeżywają okres sielanki, poznając się i powoli uświadamiając sobie, że łączące ich uczucie jest wyjątkowe. Okres beztrudnej szczęśliwości trwa aż do momentu powrotu

¹ Albert Cohen (1895–1981) jest w Polsce pisarzem prawie nieznanym, natomiast we Francji jest niezwykle popularny i ceniony, a „zadziwiająco zgodny głos krytyki obwołał go największym żydowskim pisarzem francuskiego obszaru językowego” [nota o autorze na witrynie wydawnictwa Noir sur Blanc]. Dorobek literacki Cohena nie jest wielki, zaledwie 7 książek, jednak jego twórczość została przez krytykę francuską uznana za arcydzieło. Albert Cohen dostąpił uczestnictwa w szeregu najznamienitszych Francuzów z Biblioteki Plejady, wizytówki Editions Gallimard (jednego z najbardziej prestiżowych i najlepiej znanych wydawnictw na świecie). Poświęcono mu dokumentację biograficzną i krytyczną oraz zeszyty literackie. Ogromny sukces czytelniczy i masową wręcz sławę przynosi A. Cohenowi wydanie *Oblubienicy Pana* w 1968 roku. Najpierw w listopadzie Grand Prix Akademii Francuskiej, następnie liczne przekłady i komentarze krytyczne w prasie francuskiej i zagranicznej. Choć nie była to jego pierwsza książka — trzydzieści lat wcześniej został wydany *Solal* — to dopiero teraz jego twórczość zostaje odkryta dla szerokiej publiczności, jednak najprawdopodobniej Albert Cohen pozostanie przede wszystkim autorem *Oblubienicy Pana*, która stanowi sumę jego pracy literackiej.

zdradzanego męża, kiedy to Ariadna decyduje się na ucieczkę z Genewy i życie na marginesie społeczeństwa, ale z ukochanym człowiekiem. Od tej pory kochankowie będą naznaczeni piętnem obyczajowych banitów, którzy ośmielili się złamać konwenans i wystąpili wbrew mieszczańskiej moralności. Mimo że ich egzystencja wygnańców płynie beztrudno w zbytku i luksusie, powoli wkracza w nią nuda. Jak się okazuje, nie można żyć samą miłością, trzeba czymś wypełnić czas, a gdy jest się zdany tylko na siebie, staje się to bardzo trudne. Solal i Ariadna podejmują rozpaczliwe próby przezwyciężenia tego kryzysu, jednakże bezskutecznie. Sceny zazdrości, coraz częstsze kłótnie wywoływane tylko dla zabicia nudy prowadzą do sytuacji, z której jedynym wyjściem okazuje się samobójstwo. Nawet jednak w obliczu zmian i przekształceń, jakim ulegają uczucia kochanków, miłość ich pozostaje jedyną trwałą, nienaruszoną aż do końca wartości.

Oblubienica Pana to powieść o miłości, także tej cielesnej, dlatego ciało i jego opisy zajmują w niej miejsce szczególne.

* * *

Ciało w powieści Cohena jest różne, i piękne, i brzydkie, i pożądane, i obrzydłe. Zresztą, jak się okaże, definicja piękna czy brzydota cielesnej jest dość ambiwalentna, bo inaczej kochankowie postrzegają siebie na początku uczuciowej przygody, a inaczej ku jej końcowi.

Najpierw, co z pewnością nie jest dla nikogo zaskoczeniem, jest to ciało piękne, zachwycające, ukochane, cudowne, doskonałe, dostojne, majestatyczne. Ariadna jest kobietą o zachwycającej urodzie:

Na powrót ukryty za zasłonami mógł ją podziwiać, gdy się ukazała, wysoką taką i o cudnej twarzy, niewiarygodnie zgrabną w dostojnej sukni wieczorowej. Włókł się za nią pofałdowany tren, a ona stała dumnie, rzucając od czasu do czasu ukradkowe spojrzenie ku zwierciadłu.

— Najpiękniejsza kobieta na świecie — oznajmiła zbliżając się do lustra i robiąc tklivą minę, długo się sobie przyglądała z ustami na pół otwartymi, co przydawało jej wyglądu jakby zdziwionej, a nawet nieco przyglupiałej. Tak, wszystko tu jest niesamowicie piękne — stwierdziła. Może nos trochę za wydatny, nie? Taki jak trzeba².

Ariadna czekająca nań na progu, piękna w tej sukni z białego lnu, Ariadna, widoma postać bogini, jej zagadkowe piękno aż go onieśmielało, Ariadna, jej wyrazista arcyanielska twarz, jej w zamiśleniu ułożenie warg, jej nos triumfujący, jej chód, jej piersi, co samą pychą i wyzwaniem były, rysy jej twarzy, gdy patrzyła na niego z tklivością, raptowne wzloty sukni, gdy się odwracała i ku niemu biegła, gdy nagle przybiegała z pytaniem, czy ją kocha, i z wargami do pocałunków skorymi. [...] Ariadna, kapłanka miłości, Ariadna długonoga niczym bogini łowów, Ariadna i jej przepyszne piersi, które mu dawała [...]. Solal i jego Ariadna, nagością uwzniośleni na dziobie statku ich miłości na fale rzuconego, księżęta słońca i morza, nieśmiertelni na dziobie statku, wpatrzeni w siebie bez przerwy w szlachetnym uniesieniu pierwszych dni miłości (s. 362 nn.).

² A. Cohen, *Oblubienica Pana*, przeł. A. Socha, Kraków 2001, s. 33. W dalszej części pracy po cytowanych fragmentach niniejszej pozycji w nawiasie zostaną podane numery stron.

Niezwykłe włosy, istotnie. Kasztanowate, wszak cudownie przy tym złociste, palony orzech plus złoto. Nos również nadzwyczajny, śliczny do zwariowania, chociaż może odrobinę większy od normalnego. Słowem piękność (s. 471).

Wargi nadzwyczajne, nos nie błyszczy, włosy w przemysłnym nieładzie, zęby świecące, trzydzieści dwa śmiacze solidnie osadzone, wszystkie obecne i białości nieskazitelnej, piersi stałe na swoim miejscu, jedna po prawej, druga po lewej, jak należy. Nos istotnie trochę za duży, lecz w tym cały jego urok (s. 556).

Także Solal jest przystojnym mężczyzną:

Kiedy wrócił z włosami w nieładzie, wysoki i smukły w smokingu z białego jedwabiu, podszedł do lustra, zawiązał komandorską wstęgę, spodobał się sobie i obrócił ku niej, by zobaczyć, jakie też sprawił wrażenie (s. 298).

Solal i Ariadna, oboje piękni, oboje zachwycający, wyróżniają się spośród tłumu, są inni. Także uczucie, które ich połączyło, nie jest zwyczajne i pospolite. Jest to raczej niezemski związek dwóch wybranych istot. Często niezwykłość uczucia, które połączyło kochanków, zostaje spotęgowana przez narrację zderzającą piękno ich miłosnych uniesień z opisami trywialnymi, z brzydotą ciała w bołaczce, ciała targanego niestrawnością, ciała zdradzanego Adriana cierpiącego z przejedzenia w pociągu. Tak piękno cielesne zderza się z ciałem trywialnym, przejeżdżonym, cierpiącym fizycznie, brzydkim:

„Piękna jesteś”, mówił jej, „pięknem przerażającą”, mówił jej, „słoneczną aureolą okoloną twe oczy zamglone”, mówił jej i w ramionach swoich zamykał ją mocno, a ona oczy zamykała, śmieszna, pełna wdzięku, urzeczona tym, że przerażenie budzi, odurzona słonecznością swoją. Nie idzie usnąć, za cholerę, to ta zapiekanka, za dużo jej zjadłem. Telefon o jedenastej, nie wcześniej, po co ją budzić. Dzień dobry, najdroższa, dobrze spałaś? Bardzo mi się udał wieczór, pierwszorzędnie było, wiesz? Pycha kolacyjka, kawior itede. Jak chcesz, mogę ci opowiedzieć szczegółowo. No więc kawior, zapiekanka z langustą Edward VII, przepiórka w galarecie, udziec sarni po myśliwska, naleśniki à la Ritz w polewie, to ci dopiero, same takie frykasy, super. Cud ramionom zawierzona i w nich wirująca, spytała, o której godzinie przychodzić będzie wieczorem. „O dziewiątej”, powiedział, nachylony, aby nią oddychać, a ona głową skinęła, nie wiedząc, że umiera. Dziewiąta, godzina cudu. O dziewiątej będzie, w każdy wieczór ich życia. Więc długa kąpiel o ósmej, potem szybko się ubrać. O urokliwy trudzie, by piękną się dlań uczynić, wytworną dla niego. [...] Trochę za dużo powtykałem tej zapiekanki i tej przepiórki, sarniny także, a chyba kawioru też, ale to specjalnie, żeby mu pokazać, że doceniam, kwestia kurtuazji, rozumiesz, a poza tym miałem zajęcie, kiedy on milczał, co więcej, tak się jakoś porobiło, że on prawie nie jadł, więc serce mnie bolało na myśl, że kelnerzy zabiorą te półmiski z połową zarcia, fantastycznie wyglądały te półmiski, czego tam na nich nie było, wiesz ty ojejku, a ta przepiórka była na dodatek nadziewana, w środku miała farsz z truflí ciemny taki, zdajesz sobie sprawę, jak tu było nie jeść, no i przejadłem się. Uroczyści, wirowali w półcieniu, który nagle stał się niebieski, ona przycisnęła usta do dłoni tego nieznanomego, dumna ze swojej odwagi (s. 344 nn.).

Wielkie uczucie, wspaniały świat i duchowa łączność kochanków zostają zderzone z banałem życia, ciałem i jego przypadłościami. Adrian przynależy do prozy życia, jest trywialny i pragmatyczny. W tym pierwotnym sąsiedztwie obrazów jest zarysowana linia podziału między wzniosłością i wielkością miłości, które za wszelką cenę Ariadna z Solalem będą chcieli zachować, a prozą życia.

Oni żyją uczuciem, są ponad ograniczenia ciała, a Adrian to pospolity prostak, niepojmujący magii chwili.

Do niekwestionowanych zasług Alberta Cohena zaliczyć trzeba jego niezwykle wycucie języka, zadziwiająca zdolność przechodzenia między stylami, a także umiejętność odnajdywania komizmu w rzeczach z gruntu pozbawionych śmieszności. Zdania poświęcone opisowi Adriana Deume to prawdziwy majstersztyk, sprawiający, że bezmyślność i tępota stają się farsą, a głupota, zamiast bezsilnej złości, wzbudza szczery śmiech. Adrian dla swojej małżonki jest zwierzęcy, wulgarny, brzydki:

Leżąc już spokojnie obok niej, przemawiał do niej w czułych słowach, opatrując przemówienie podniosłymi komentarzami, aż ją korciło, by wierznąć. [...] Nie mógłby przynajmniej w milczeniu trzeźwieć po gwałcie, jakiego dokonał?

A w ogóle co się do niej tak przyciska, spocony był, lepki taki, a za każdym razem, gdy się nieco odsuwała, znów do niej przywierał, znów wygadywał te czułości, jak śmiał, dziki podrywacz sprzed chwili [...].

— Jak dobrze będzie spać przy tobie — uśmiechnął się rozanielony rozkoszując się błogością nasycenia. To ciekawe, dorzucił ziewnąwszy, najlepiej zasypiam zwinięty w kłębek jak pies (s. 198).

W oczach Ariadny jej mąż jest zwierzęciem: „dyszy”, „chrapie”, „podskakuje”, „lubi pogmerać łapą zanim uśnie”. Jest „obcy”, „nagi i owłosiony”. Budzi w niej obrzydzenie i mdłości:

Właśnie odkrył się do kolan, gorąco mu, bo sobie kretyńsko popodskakiwał, wstydu nie ma, wystawił swój narząd, ten ohydny narząd. Och, jakie to odrażające, strach bierze przed tym narządem, co go ordynarnie obnaża, z którego z pewnością jest dumny, och, jakie to wstrętne i grubiańskie, jakie psie, tak, właśnie (s. 199).

Adrian „trzęsie się z zimna”, ma problemy żołądkowe, kłopoty z cerą:

Opuścił deskę udającą mahoń, rozchylił poły płaszcza, rozwiązał tasiemkę spodni, zasiadł. Dziwne to spóźnienie. Zwykle załatwiał się zawsze rano, regularnie, skoro tylko się zbudził [...]. Nie miał problemów z wypróżnianiem (s. 609).

Spostrzegł na nosie węgry, wydusił go, przypatrzył się odrobinie tłuszczu na paznokciu, rozgniół paskudztwo (s. 610).

W opozycji do pięknych zakochanych narrator stawia także wujów Solalę, Walecznych, którzy „wydłubują brud zza paznokci” (s. 214), „puszczają baka” (s. 591), noszą się groteskowo, są komiczni, brudni i cielesni. Są też urzędnicy z Ligi Narodów, wszyscy obrzydliwi, cielesni, trywialni, „ssaki”, „ptaki”, zwierzęta popychane żądzą ciała:

W jakimś ustronnym kąciuku łysy ambasador [...] z zapalem wiódł rozmowę z młodą tłumaczką, czterojęzyczną idiotką obdarzoną sterczącymi cymbkami, zanim jej nie opadną, a wystawiającą swe uciężne półdupki opięte w przywską spódniczkę, i to był właśnie cel jej życia, tej pieszczoszki, która zanosila się śmiechem, upojona swą chwilową władzą (s. 236).

Tylko kochankowie zdają się wykraczać poza ciało i żyć jeno miłością, duchowością. Lecz czy im się to udaje? Przecież człowiek nie jest istotą tylko duchową, ma ciało, przez co skazany jest na wszelkie cielesne przypadłości.

Życie kochanków staje się ciągłym dążeniem do zapewnienia sobie szczęścia. Pragnienie, aby zaskoczyć partnera dbałością, fantazją w odnajdywaniu nowych radości i rozkoszy, staje się priorytetem. Ze wszech miar starają się kontrolować ciało, narzucić mu ryzy, upiększają je, udoskonalają. Jest to ciężka praca, obowiązek, konieczność:

Raptem spoważniała i świadoma swoich obowiązków obłożyła twarz i szyję warstwą szarej mazi, taką maseczką piękności. Czyniąc zadość miłosnym powinnościom, odczekała, aż stwardnieje, milcząc podówczas i nie śpiewając, by zaskorupiałe błotko nie popękało, za to z paznokciami sobie robiąc, jednakowoż bez lakieru, o nie, wulgarne to i katolickie. Z kolei odbyło się mycie włosów szamponem (s. 370).

Kąpiel i wytarcie się do sucha. Mycie głowy szamponem i suszenie włosów suszarką. Maseczka kosmetyczna na twarz podług tego nowego przepisu z durnego babskiego tygodnika. Próba sukienek [...]. Do rozważenia ewentualna kąpiel dodatkowa. Pozostałe czynności przygotowane różne, w tym [...] kontemplacje przed lustrem, próby uśmiechów i stosownych wyrazów twarzy, czesanie (s. 514).

Odwrócona plecami do zatopionych sukien doprowadzała się do doskonałości licznymi uderzeniami grzebienia, najpierw obszernymi i mocnymi, potem z mniejszym rozmachem i delikatniej, ostrożnie, ot takie dotknięcia ledwo ledwo, takie muśnięcia dla wtajemniczonych oraz nieuchwytnie pieszczoty w poszukiwaniu absolutu osiągalnego elementami nieskończenie małymi (s. 556).

No teraz do pracy na serio. Stojąc z rozstawionymi nogami, to podśpiewując, to pogwizdując, od czasu do czasu rzucając okiem na zegarek i rozkład jazdy, jedno i drugie niebawem obficie popryskane wodą, przystąpiła do nader ważnej czynności obmywania swojego ciała. Mydliła je z zapalem, gorliwa i ze zmarszczonymi brwiami, potem kładła się w wodzie, potem wstawała i znów się mydliła oraz mocno tarła stopy pumeksem. Ileż ona zadawała sobie trudu, ona śmierci przybiecana, jakże sumiennie pracowała, aby w tym, co robi, osiągnąć doskonałość, rzekłbyś, dobry rzemieślnik, aż język nieco na wierzch wystawiła z wysiłku (s. 518).

Ona też się pewnie w tej chwili namydła, myślał, kąpiąc się. Uradowany, że wkrótce ją zobaczy, mimo wszystko nie mógł nie dostrzec śmieszności tych dwóch biednych ludzkich istot, które w tej samej sekundzie i oddalone o trzy kilometry jedna od drugiej szorują się i pucują, tak jak się zmywa naczynia, każda, by spodobać się drugiej, rzekłbyś, aktorzy sposobiący się do wyjścia na scenę (s. 373).

Bowiem kiedy nie ma obok niej ukochanego, Ariadna pozwala sobie na „cielesność”, na głód, na czyszczenie nosa, na ziewanie, na kichanie, na bycie „niedoskonałą”, naturalną, ludzką:

Uff, mam wolne, i po kłopotcie, rzekła. Już nie ma potrzeby robić z siebie piękniśnię, monsieur, poszedł sobie, tak nie ma faceta, nie ma gościa [...]. Wybornie tak sobie iść bez butów, boso, na pełnych stopach, troszeczkę niezdarnie, wybornie tak sobie poruszać palcami, nie być bez przerwy taką nadętą i Kleopatrzą, i stale się bać o swoją urodę. [...] Kichnęła. Wszystko jedno, skoro jego tu nie ma. Za drugim razem naumyślnie kichnęła bardzo głośno, wydając z siebie nader wyraźne, do-

stojne oraz dramatyczne apsik. Nawet uczyniła sobie przyjemność pooglądania w lustrze swojego nieszczęśliwego i czyżby już zakatarzonego oblicza? Wszak kicha (363 nn.).

* * *

Historia miłości kochanków przybiera schemat mitu o Tristanie i Izoldzie, bo każde z nich poświęci swoją pozycję społeczną w imię tej miłości, decydując się na ucieczkę, utratę przywilejów i na egzystencję na marginesie społeczności, wystawiając się na złe spojrzenia, pełne pogardy i poczucia wyższości moralnej, porządnych mieszczan. W Agay, na wygnaniu, poza społeczeństwem, Ariadna i Solal są skazani na bycie razem w okrutnej samotności, a namiętność nie wystarcza do zapewnienia sobie szczęścia.

Zachodnia literatura jako nosicielka mitu namiętnej miłości jest dla Cohena punktem wyjścia³. Odwołania do historii Don Juana, Romea i Julii, Ariadny i Tezeusza oraz Tristana i Izoldy są bardzo wyraźne. Jednakże wszystkie odnośniki do tych wielkich mitów miłosnych charakteryzuje negatywne ujęcie tematu namiętnej miłości. Także właściwy dla tematyki miłosnej sposób pisania zostaje przejęty i zdekonstruowany przez Cohena, który obnaża topos namiętności także, a może przede wszystkim na polu leksykalnym, krytykując w *Oblubienicy Pana* konwencje językowe, chimeryczne, sztucznie liryczne. Przesadnie wyrafinowane słownictwo zostaje ośmieszone, także nadmierna dbałość o ciało, ukrywanie jego przypadłości. Tym samym Cohen dokonuje krytyki konwencji zachowań kochanków.

Upiększanie się, które oznaczało czułość i troskę, przechodzi powoli w sztywne konwencje. Ariadna i Solal żyją jak w złotej klatce, za bardzo utożsamiając się ze swoimi rolami idealnych kochanków. Miłość, jak każdy inny element społecznego świata, ma gotowe scenariusze, w które wchodzimy:

Za miłością bowiem — wedle socjologii nie kryje się nic niestandardowego, nic niepowtarzalnego i nic nieszablonowego. Miłość erotyczna to ukształtowana w długiej historii kultury euroamerykańskiej instytucja społeczna, w ramach której doznania seksualne wepchnięte są w tryby wystandaryzowanych, powtarzalnych i schematycznych rytuałów, słów i trików do wykorzystania⁴.

Staje się jasne, że gra, jaką jest miłość, ma swoje bezlitosne prawa i nie może karmić się jedynie pięknem i wzniosłością. Miłość jest społecznym konstruktem, w który wchodzi Ariadna i Solal, tyle że skazani tylko na swoje towarzystwo, zatracają się oni w romantycznych schematach kolacji w blasku księżyca i czerwonych róż. Przesyt romantyzmu, nadmierna aranżacja sytuacji i teatralizacja zachowań odbierają im całą słodycz i wyjątkowość. Powtarzalność niszczy niezwykłość. Piękny mit miłosny powszednieje, a tragedia nudy, która dotyka bezgranicznie oddanych sobie ludzi, jest tym większa, że uwikłani we własne wyobrażenia i sztywne scenariusze nie mają możliwości powrotu do normalnego życia:

³ C. Stolz, *La polyphonie dans Belle du Seigneur d'Albert Cohen. Pour une approche sémiotique*, Paris 1998, s. 333–340.

⁴ T. Szlendak, *Architektonika romansu*, Warszawa 2002, s. 131.

Skończywszy z czarną robotą gimnastykowała się potajemnie, potem brała kąpiel, potem nakładała tę tak zwaną suknię miłosną, wypraną wczoraj wieczorem i odprasowaną dziś wczesnym rankiem. I wreszcie wypływała na powierzchnię, uroczysta i z wysuniętym podbródkiem od napiętych mięśni szczęk, westalka pachnąca perfumą o nazwie Ambra Antyczna. Zasiadali do obiadu na świętym tarasie, gwoili radowania się widokiem świętego morza. [...] Cholera, pierwszy gong. Za kwadrans trzeba będzie udać się na taras, spożywać te paskudztwa w sposób skończenie wytworny oraz dać się pokłuć przez komary, szkaradne małe bestie, które nie tylko łakną twojej krwi, lecz także zadają ci ból [...]. Aha, tak ma iść na taras, w smokingu, ma dać sobie pokłuć kostki u nóg, ma mówić o kolorach morza i zgrywać cudownego, i patrzeć jej ciepło i głęboko w oczy, i wynajdywać niezwykle sposoby powiedzenia jej, że ją kocha. A przecież, tak jest, a jednak ją kochał, żadna inna kobieta nie była mu tak bliska. Nigdy. Zawsze czuł się odległy od wszystkich innych: od Adrianny, Aude, Izoldy, od innych — tych na krótko. [...] Wszelako Ariadna był mu najbliższa, najmilejsza, była jego głupiutką. Lubił patrzeć na nią ukradkiem, usiłował skrywać swoją dla niej czułość, bo to była zbrodnia przeciw namiętności. Jakże często zwalczał w sobie pragnienie, by ją wziąć w ramiona, mocno ją ucałować w policzki, dwadzieścia razy tylko w policzki. Wszystko w niej było czarujące, nawet kiedy z niej była idiotka (s. 732).

Teatralizację życia kochanków znów widzimy na płaszczyźnie obrazowania ciała. Kontrast wspólnie spędzanych wzniosłych aż do bólu chwil zostaje podkreślony przez swobodę i naturalność w samotności, kiedy można być po prostu sobą, człowiekiem, z całą cielesnością i fizjologią, z wadami i ułomnościami, a nie zimnym ideałem.

Opuszczał ją nad ranem dlatego, ponieważ nie chciał, by go oglądała w stanie dalekim od ideału, nieogolonego i niewykąpanego. Także dlatego, iż lękał się usłyszeć ów porażający grzmot uderzenia wody, gdy ona pójdzie brać kąpiel, ten złowróżbny łoskot.

Ogolony i wykąpany, w szlafroku, telefonował do niej, pytał czy może przyjść. „Za chwilkę, za parę minut”, odpowiadała. Uczesana i wykąpana, w białym negliżu, szła otworzyć okno w łazience, aby ją przewietrzyć, zamykała drzwi, po raz ostatni sprawdzała twarz ukochanej, owszem może być, duma ją przy tym rozpierała od tych jej podkrążonych oczu, poprawiała kosmyk włosów nad czołem, oddzwaniała mu, że jest gotowa. Wchodził, i jak cudnie było patrzeć na siebie owym półbogom strojnym w ich kapłańskie suknie, romantycznym i odświeżonym (s. 621).

Odłożył szczoteczkę i mydło, spojrzał na siebie gładziutko ogolonego i aż odpychającego czystością w tym szlafroku. No tak, takie ma być odtąd jego życie, codziennie być pożądanym, zabawiać się w męsko-damską karuzelę. Ona przeobraziła go w pawia. Wszystko razem biorąc, wiedli egzystencję zwierzęcą, ona i on. No ale zwierzęta przynajmniej mają tylko pewne okresy zalotów i parzenia się. Oni nie, oni cały czas. Nieustannie się myć, dwa razy dziennie się golić, bez przerwy być pięknym, taki od trzech miesięcy był cel jego życia (s. 628).

Ariadna, zostając sama, nie dba już tak bardzo o szczegóły, nie stara się za wszelką cenę przemienić w boginię, jest sobą.

Rano nieboraczka w kostiumie kąpielowym potajemnie odbywała gimnastykę, rozciągnięta na dywanie. Nie domyślała się, że on przez dziurkę do klucza śledzi, jak ona unosi nogi, z namaszczeniem wykonuje nimi nożyce, powoli je opuszcza, pilnując właściwego rytmu głębokich wdechów i wydechów, potem od nowa to samo (s. 727).

Natomiast kiedy „smarka w palce” (s. 622), „ziewa” (s. 636), „burczy jej w brzuchu” (s. 723) w towarzystwie ukochanego, wstydzi się i za wszelką cenę

maskuje, ucieka, wybucha płaczem lub w taki czy inny sposób próbuje odwrócić uwagę Solala od jej niedoskonałego ciała:

Akurat zaburczało jej melodyjnie w brzuchu, z towarzyszeniem ozdobników zda się kontrabas. Dźwięki zamarły przygłuszone kaszlnięciem, którym usiłowała stłumić ową potworność. Pocałował ją w policzek, aby rozładować napięcie i złagodzić jej owo straszliwe poniżenie. Aliści natychmiast rozbrzmiały kolejne majestatyczne pomruki, które ukryła pod serią chrząknięć. Burczeniu trzeciemu, na początek takiemu otchłannemu, potem wdzięcznie szemrzącemu jak strumyk, starała się przeciwdziałać mocno wgniatając łokieć w żołądek. Czwarte nastąpiło w tonacji molowej, smutne i subtelne. Widząc jedyny ratunek w zmianie pozycji, usiadła na fotelu naprzeciwko i bardzo głośno powiedziała, że jest śliczna pogoda. Potwierdził równie głośno, dodając, że doprawdy jest to cudowny dzień, po czym rozwinął ten temat, gdy tymczasem ona poszukiwała ukradkiem pozycji zdolnej unicestwić te przekłète odgłosy spowodowane przemieszczeniem się gazów oraz płynów w Bogu ducha winnym jej żołądku. Ale nie nie skutkowało i rozlegały się coraz to nowe dźwięki domagające się prawa do swobodnego uzewnętrznienia. Wylapywał je słuchem nie bez pewnej dozy współczucia, żal mu było tej biedaczki, niemniej nie mógł sobie odmówić nadawania kolejnym frazom, nieraz trudnym do określenia, charakteryzujących je przymiotników: wesołe, pokorne, butne, szelmowskie, powszednie, żałobne. W końcu wpadła na zbawienny pomysł, by wstać i uruchomić gramofon, który jakby z nieba jej spadł w samą porę (s. 724).

Innym fragmentem ujawniającym fałsz życia kochanków są monologi Marietty — ich służącej — fenomenalne zresztą z punktu widzenia kreacji lingwistycznej:

Jedna łazienka pańska przytyka do panowego pokoju, a druga łazienka jest dla *madame* super luks nie z tej ziemi jak to się mówi, tyle że panina łazienka to już do paninego pokoju nie przytyka, do tego na boku jest sracz co na niego powiadają water klozet, cały na biało wygodniuski wszędzie mozaika że byś pani mogła jeść z ziemi, ale nie, to jej nie starczyło jej się zachciało water klozetu specjalnie dla każdego jednego z nich, no i kazała zrobić po jednemu w każdej łazience, tak że z tym na boku co już był i co nikt do niego nie chodził i z tym dla służby co jest w piwnicy i co ja się tam załatwiam to są teraz cztery water klozety, byćże pani cicho nie rośmieszaj mnie, a wie pani dlaczego, jażem od razu się kapła, water klozety w dwóch łazienkach są żeby każde nie wiedziało że drugie poszło się wysikać albo wysrać myślę że drugie poszło se tylko omyć ręce w umywalce albo się zamoczyć we wannie bo jak leci woda z kranu to już nic inkszego nie słyhać, a to jeszcze nie wszystko, ona kazała u siebie wybić dziurę w ścianie i zrobić drzwi do jej łazienki co w niej jest ten nowy water klozet, żeby jeszcze bardziej skryć że idzie za potrzebą żeby jej nawet nikt nie widział jak wchodzi do łazienki, ani widu ani słyhu cyt nic ci do tego ani nie wiesz że się załatwiam, a po mojemu to nie ma nijakiego wstydu jak się człowiek idzie wyrobić, Pan Bóg takiego stworzył, przecież nawet król i królowa chodzą za potrzebą (s. 708).

Czytelnik ma szansę spojrzeć na bohaterów, na ich życie intymne z zewnątrz. Poznaje dzięki temu wydarzenia, z pozoru nieistotne z punktu widzenia rozwoju akcji, toczące się poza główną sceną fabuły, od kuchni. Marietta jest raczej widzmem niż aktorem. Komentuje i obserwuje aranżację życia Solala i Ariadny, z którego często niewiele rozumie. Wprowadzenie tej postaci do fabuły z jej prostym, potocznym językiem potęguje tylko sztuczność i śmieszność życia codziennego kochanków⁵. Obnaża prawdę o ich codziennej egzystencji —

⁵ V. Duprey, *Albert Cohen — au nom du père et de la mère*, Paris 1999, s. 146.

sztucznej i pełnej iluzji, gdzie ważniejsze od tego, kim się jest naprawdę, jest to, jakie się robi wrażenie. Powoli iluzja cudowności miłosnej pęka, kochankowie się nudzą, brzydną we własnych oczach:

Jeszcze raz jechać do Włoch? Nie miał odwagi. Tak czy tak, nawet w Wenecji będą tacy sami, będzie to samo. Do tego, pod koniec każdej podróży pociągami ona miewa nozdrza przyproszone sadzą. Usiłował na nie nie patrzeć, ale też nie mógł się przed tym powstrzymać, przyciągany odrażającym widokiem owych dwóch czarnych otworów (s. 629).

O godzinie drugiej trzydzieści pięć, otrzymawszy należny hołd, głaskała jego ramię [...]. Tak, przecież ta tutaj też głaszcze ogiera, niejako pieści go i poklepuje, dziękując mu, że tak pysznie cwałował. [...] Do tego wszystkiego, czemu ona się tak przyciska, można się do niej przykleić taka jest lepka. Nieznacznie się odsunął, i dało się słyszeć takie mlaśnięcie, jakbyś bańkę od ciała odrywał. O, znów się przyciska [...]. Wczoraj, gdy dla zabawy ścigał ją po opustoszałej plaży [...], odczuwał niesmak, rodzaj obrzydzenia, wstyd, poniżenie, miał wrażenie, że goni za wielkim karnikiem płci żeńskiej (s. 630).

Gdy ją oglądał z tyłu, naga, i krzątającą się, niezmiennie ogarniała go litość. Taka urocza na leżąco, była nieco śmieszna, gdy chodziła goła, rozczulająca i pocieszna tą swoją słodyczą i bezbronnością, słaba i krucha, z tymi dwiema z tyłu chybocącymi półkulami poniżej pleców, półkulami bezsilności, zbyt dużymi, jak i wszystkie niewieście okrągłości, niedorzecznie zbyt wydętymi, zupełnie nie stworzonymi do zapaśniczych zmagania (s. 632).

Ich biedne życie. Ten ich pretensjonalny ceremonial widywania się wyłącznie pod postacią kochanków wręcz baśniowych, niczym kapłani, niczym oficjanci miłości, miłości przypuszczalnie nie mniejszej jak u jej początków. Owa farsa widywania się wyłącznie pod postacią piękna i godności, i nieskazitelności, że aż rzygać się chce. Bez przerwy wyłażą z wanny, ustawicznie pod przymusem udawanego pożądania. Dzień po dniu ów niedobór witamin piękna, to rzecz by można szkorbutowe gnicie w nadętości i napuszoneości tej ich nieustannej niby takiej podniosłej, ale jednak chuci (s. 725).

Tworzone na siłę rozrywki: kino, płyty, wymyślne posiłki, muzyka, herbata, kawa, seks. To wszystko nieudane sposoby odwiekowania nieuniknionego i jednocześnie świadectwo niegasnącej miłości, która jednak musi ustąpić przed brutalnością codziennego życia. Prawdziwym nieszczęściem kochanków jest właśnie nie wygasanie miłości, albowiem ta pozostaje niezmienna, ale to, że powoli przestają mieć siłę i inwencję do zapełniania sobie czasu wyłącznie własnym uczuciem.

* * *

Albert Bensoussan⁶, analizując *Oblubienicę Pana*, przywołuje myśl Lukàcsa, że każda powieść zbudowana jest na antynomii jednostki i zbiorowości: Don Quichote staje do walki ze skostniałym społeczeństwem hiszpańskim, Rastignac z Paryżem, Emma Bovary walczy z nudą, K. z biurokracją, a u Cohena, można rzec, Solal staje naprzeciw kobiecie, bezgranicznie mu oddanej kochanki i niewolnicy, którą zniszczy, niszcząc zarazem siebie. Aude, Adrienne, Izolda i wreszcie

⁶ A. Bensoussan, *L'œuvre d'un séducteur*, „Magazine Littéraire” 1989, nr 261, s. 36–39.

Ariadna, czyli kobieta Zachodu, chrześcijanka, personifikacja zachodniego społeczeństwa, która Solala fascynuje i odpycha jednocześnie, z którym się integruje i od którego ucieka. W tym przeciwstawieniu Cohen dokonuje demistyfikacji namiętnej miłości jako wielkiej iluzji mamiącej nas swoją pozorną siłą i wyjątkowością. Wspólne życie kochanków przekształca się w teatr pustej formy, gdzie wszystkie elementy scenariusza idealnej miłości — pocałunki, namiętny seks, wspólny posiłek przy świecach i aria Mozarta *Voi che sapete* — tracą cały urok, stając się koniecznością i obowiązkiem. Odcięci od świata, żyjący w swoistej nierealności romantycznych spacerów, wyszukanych kolacji, czułych wyznań czy długich i leniwych śniadań w łóżku, kochankowie nie potrafią być sobą, gra pochłania ich coraz bardziej, ze strony na stronę, nieuchronnie prowadząc do tragicznego finału.